ROK TRZECI.

—

№ 52.

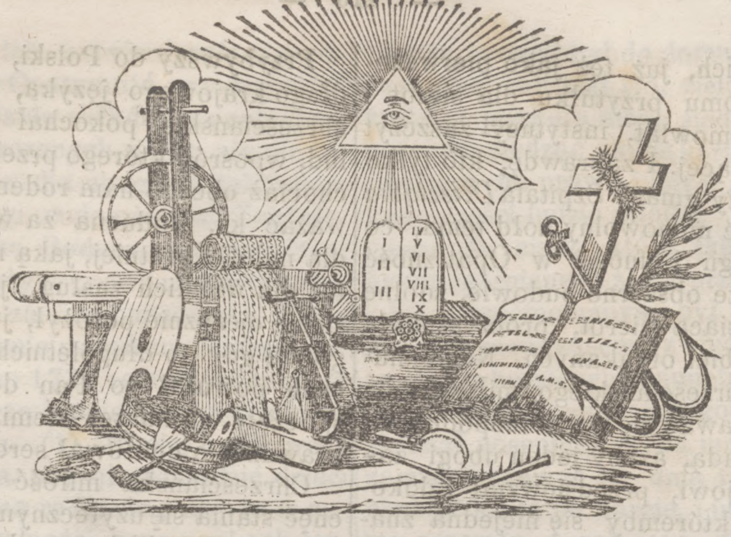
Warszawa

Dnia (14) 26 grudnia

1858.

Niedziela

po Narodzeniu Chrystusa Pana.



REDAKCYA CZYTELNI

przy ulicy Chmielnej Nr. 1527.

PRENUMERATA

rocznie w Warszawie rsr. 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 4. miesięcznie k. sr. 15.

Na prowincyi i w Cesarstwie rs. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

Wszechmogący a wieczny Boże, racz według upodobania twego zarządzać sprawami naszemi, iżbyśmy w Imie najulubieńszego Syna twego zasłużyli święcić Ci w obfitości dobre uczynki nasze. (Kollekta na Niedzielę po Narodzeniu Chrystusa).

Chwała na wysokości Bogu!

—

W czasie spełnienia świętej tajemnicy,
W owym dniu błogim Pańskiego wcielenia,
Kiedy w Betleem z przeczystej Dziewicy
Zawitał na świat nasz Sprawca zbawienia,
A Matka Jego z pochylonem czołem,
Cicha i korna w chwały swojej chwili,
Aniołów Bożych otoczona kołem,
Co z pasterzami Dzieciątku nucili,
Promieniem gwiazdy zarannej jaśniała;
Ach! odtąd przyszedł kres ludzkiej niedoli,
A pod niebiosy pieśń anielska brzmiała:
Pokój na ziemi ludziom dobrej woli!
Bo Ten, co ziemskie przyszedł zmazać winy,
Śmiercią krzyżową zgładzić ludzkie złości,
Spełnieniem woli, Syn Boży jedyny
Miał przynieść chwałę Ojcu z wysokości.
Dalejże bracia! niech i w naszem gronie
Zabrzmi pieśń szczęścia, chwały i wesela,
Niechaj odżyje dzisiaj w naszem łonie
Święta pamiątka przyjścia Zbawiciela!
Stawmy się myślą u żłobka Dzieciny,
Której w pieluszkach groził miecz Heroda;
Niechaj ten Boży Baranek bez winy
Do cierpień życia odwagi nam doda,
Abyśmy nie drżąc przed krzyżem ludzkości,
Chętnie go siły dźwigali wspólnémi,
By oddać chwałę Bogu z wysokości,
A sobie pokój pozyskać na ziemi.
Niech życie Zbawcy za przykład nam stanie,
Jego się Boskiem posilajmy słowem;
Wszakże On dla nas rodził się na sianie,
I dla nas umarł na drzewie krzyżowem.
Więc dziś i zawsze pobożnem wspomnieniem
Święcąc pamiątkę wielkiej tajemnicy,
Ku Chrystusowi wznieśmy się swem pieniem,
Co zasiadł w chwale na Ojca prawicy;
A kiedyś ziemskie zakończywszy życie,
Gdy nam zbawienia zajaśnieją zorze,
Znajdziemy pokój w nieśmiertelnym bycie,
Jakiego nigdy świat nam dać nie może.

—

Ksiądz Gabryel Boduen (Bodouin) Missyonarz,

Założyciel Szpitala Dzieciątka JEZUS w Warszawie.

—

Niejednokrotnie już w piśmie naszem wspominanem było ze czcią imie ks. Boduena, już to jako wzoru rzadkiej pokory, poświęcenia i

cnot chrześciańskich, już też jako pierwszego założyciela domu przytułku dla sierot i opuszczonych niemowląt, instytucyi zaszczyt krajowi przynoszącej. I zaprawdę, kto tylko spojrzy na okazały gmach Szpitala *Dzieciątka Jezus*, musi oddać mimowolny hołd temu, co siłą jedynie energii i ufności w Opatrzność wznieść potrafił te obszerne budowle, zdolne pomieścić do tysiąca sierot, prócz szpitala dla chorych i kobiet obłąkanych. Niepojmującemu cudów chrześciańskiego miłosierdzia i wytrwałości, zdawać się może niepodobieństwem lub przesadą, ażeby jeden ubogi zakonnik, obcy krajowi, przedsięwziął i dokonał dzieła, przed któremby się niejedna znakomita cofnęła fortuna. A jednakowoż niewątpliwą jest prawdą, iż niezmordowanym jedynie usiłowaniom Boduena zawdzięcza Warszawa ten wspaniały, o pobożności i miłosierdziu ojców naszych chlubnie świadczący zakład, o czem nas bliżej rys życia tego świętobliwego męża przekona.

Gabryel Piotr Boduen urodził się w Owerń (Auvergne) we Francyi, dnia 5 kwietnia 1689 roku. Po skończeniu chlubnie nauk, czując powołanie do stanu duchownego, zapragnął wstąpić do Zgromadzenia Kartuzów; ulegając wszakże usilnym przedstawieniom i prośbom rodziny, w oczach której skromny zawód kapłana zdawał się być zbyt ograniczonym dla pełnego zalet młodzieńca, odstąpił pierwiastkowego zamiaru, i za jej radą wstąpił do wojska. Ale niedługo w niem pozostawał, wewnętrzne bowiem natchnienie do świętszych powołujące go celów, przeważyło wkrótce w myśli młodego Boduena świetne w przyszłości nadzieje; idąc on za jego głosem porzucił błyszczący mundur wojska, zamieniając go chętnie na ubogą suknię zakonną, i w roku 1710 wstąpił do zgromadzenia Missyonarzy Śgo Łazarza w Paryżu, mając lat 21. Nie pomogły tym razem perswazye rodziny, wola jego była nieugiętą.

Przełożeni zakonu oceniając w nim obszerną i gruntowną naukę, obok niezachwianej żarliwości chrześciańskiej, powierzyli mu katedrę teologii (wykład nauki religijnej) w seminarjum Wersalskiem. Obowiązki te spełniał Boduen do roku 1717, w którym ze zlecenia duchownej swej władzy udał się do Warszawy.

Przybywszy do Polski, nauczył się niezadługo krajowego języka, a w miłości swej chrześciańskiej pokochał wprędce gościnny lud, wpośród którego przebywał. Dlatego też chociaż obcego nam rodem, mamy prawo uważać ks. Boduena za współziomka, już to dla miłości bratniej, jaką nam okazywał, już też dla wielkich zasług, jakie w nowej dla siebie ojczyznie położył, już wreszcie dlatego, że gdy po długoletnich apostolskich pracach powołał go Pan do siebie, kości jego spoczęły na naszej ziemi, którą synowskiem prawdziwie umiłował sercem.

Chrześciańska miłość bliźniego i żarliwa chęć stania się użytecznym ludzkości, zajmowały ciągle szlachetną dusze gorliwego kapłana; ale opanowała ją zarazem niepewność, jakąby najskuteczniejszą obrać ku temu drogę. Wpośród tej walki, jaka odbywała się w jego duszy, wznosił on wzrok błagalny ku niebu, prosząc gorąco o promień światła, któryby niepewność tę rozjaśnił; i Bóg wysłuchał serdeczne modły swego sługi, wskazując mu prawie dotykalnie cel, ku jakiemu go powoływał. Oto jak się to stało:

Powracając raz od chorego do mieszkania swego w klasztorze Śgo Krzyża, ujrzał na ulicy psa, unoszącego w paszczy główkę dziecięcia i resztki pokrwawionych członków, jeszcze niepożartych. Łatwo pojąć, jakie okropny ten widok uczynił na umyśle zacnego kapłana wrażenie; w jednej chwili znikła z duszy jego wątpliwość, która w niej dotąd gościła, głos jakiś wewnętrzny mówił mu w duszy: Pragnąłeś stać się użytecznym ludzkości, patrzaj, oto twoje zadanie. Dzieci występku i niesławy, niemowlęta opuszczone przez wyrodne matki, będące dziś łupem zbrodni i pastwą zgłodniałych zwierząt, ubogie sieroty, niechaj staną się odtąd dziećmi twojemi; bądź im opiekunem, stróżem, nauczycielem. Ocalając ich życie, ocal również od zguby nieśmiertelne ich dusze; tchnij w nie świętą naukę słowa Bożego i uczyń pożytecznemi członkami społeczeństwa. I Boduen zanim przestąpił próg klasztorny, ślubował Bogu w duszy stać się ojcem i opiekunem wszystkich opuszczonych niemowląt.

Za powrotem do klasztoru opowiedział z płaczem przełożonym swoim, czego był świadkiem, wyjawiając im zarazem ślub, jaki

uczynił. Wsparty ich zatwierdzeniem i podniecony ufnością w Opatrzność, przedsięwziął niezwłocznie zbieranie składek na założenie przytułku dla opuszczonych sierot; ale nie łatwe to było zadanie dla ubogiego zakonnika i nieznanego w kraju cudzoziemca. Znał dobrze te trudności ks. Boduen, lecz nie zrażał się niemi. Raz położywszy swą ufność w Bogu, szedł wytrwale do zamierzonego celu, i Bóg też wspierał widocznie usiłowania swego sługi; do roku bowiem 1732 zebrał już tyle, iż mógł nabyć obszerną kamienicę na Krakowskiem-Przedmieściu. (1) W niej osadziwszy Siostry Miłosierdzia, począł gromadzić dzieci przyciśnionych nędzą rodziców, aby te w zasadach religii i moralności, oraz naukach stanowi ich odpowiednich wychowywać; opuszczone zaś niemowlęta, które zbierał troskliwie, a których liczba naówczas do 200 już wynosiła, umieszczał u mamek tak po wsiach, w mieście, jak i w samym zakładzie, wynagradzając przybrane te matki, kobiety zwykle biedne i familią obarczone, wedle swej możności. Tak postępując, nietylko że przychodził z pomocą uczciwemu ubóstwu, ale ileżto obok tego oszczędził zbrodni, ileż ocalił dusz zbłąkanych od wiecznej zaguby, torując im drogę do żalu i pokuty!

Biedne niewiasty, ofiary częstokroć chwilowego zapomnienia lub niegodnej rozpusty, co dotąd wstyd swój pokrywały najokropniejszą ze zbrodni, zbrodnią dzieciobójstwa, pochwyciły wieść o przytułku dla niemowląt ks. Boduena tak, jak rozbitki deskę ocalenia. Każdego też rana pobożny kapłan u progu swego domu znajdował mnóstwo podrzuconych niemowląt, których liczba tak znakomicie wzrastała, iż nabyty dom okazał się niezadługo zbyt szczupłym na pomieszczenie sierotek. Trzeba więc było pomyśleć o innym jeszcze obszerniejszym, i tym celem uciec się nanowo do kwesty. Wziąwszy puszkę wrękę, puścił się ks. Boduen, lubo w podeszłym już wieku i ze starganemi siłami, pukać do serc miłosiernych, i tu go czekała ostatnia próba pokory i wyrzeczenia się siebie, którą go Przedwieczny chciał wprzódy doświadczyć, zanimby ostatecznie zamiary jego pomyślnym uwieńczył skutkiem.

Razu jednego w ciągu codziennej swej kwesty, wszedł był do domu gry—wpośrodku obszernej sali stał stół zielonem suknem pokryty, a naokoło niego siedzieli liczni gracze, bacznem śledząc okiem karty, padające z rąk bankiera na prawo i lewo; a byli to po większej części ludzie młodzi. W pokoju głucha panowała cisza, którą tylko kiedyniekiedy brzęk zgarnianego złota przerywał. Niesmak jakiś wypiętnowanym był na twarzach zbledzonych niewczasem i zwiędłych od gorącego tchnienia burzliwych namiętności. Jeden z graczów, dziedzic znakomitego imienia i fortuny, siedział posępniejszy od innych, gdyż go los zawistny zdawał się dnia tego prześladować; chybiał kartę po karcie, i już znakomite summy przeszły z rąk jego do kassy bankiera, kiedy wszedł ks. Boduen, i zbliżywszy się do tego właśnie niefortunnego gracza, zażądał datku na przytułek dla nieszczęśliwych sierotek. Nie otrzymując odpowiedzi na pierwsze pytanie, powtórzył je poraz drugi i trzeci; wtedy gracz ów rozjątrzony nową przegraną, i w zaślepieniu swem przypisując ją niewczesnej obecności księdza, niepomny w uniesieniu na wiek jego podeszły, na święty charakter kapłana, na samą nawet przyzwoitość światową, ofuknąwszy się nań groźnie, wyciął mu policzek. Tu się dopiero w całem świetle okazał tryumf chrześciańskiej pokory Boduena. Wspomniawszy na przykład swego Boskiego Mistrza, co nie takie zniewagi dla odkupienia rodzaju ludzkiego dobrotliwie znosił, zawołał rozrzewniony:

— To dla mnie, a cóż dla sierot?

Czyn ten zuchwały i słowa te łagodności pełne, miały skutek piorunu. Obecni gracze zgrozą przejęci, struchleli, winowajca zaś rzucając się na kolana, błagał ze łzami o przebaczenie u nóg kapłana, a otrzymawszy takowe wraz z błogosławieństwem skrzywdzonego, wszystko swe złoto ze stołu do sierocej zgarnął skarbony. Przykład ten pociągnął drugich, i nigdy z żadnego domu nie wyszedł Boduen bogatszy w zasługę i wsparcie dla sierot.

Zdarzenie to rozgłoszone wkrótce po mieście i po całym kraju, obudziło powszechny zapał ku osobie i celom świątobliwego męża. Wnet się o nim dowiedział i król August III, i hojną ofiarą przyszedł w pomoc szpitalowi; za przykładem króla poszli i inni panowie i złoto popłynęło strumieniem. To też w ciągu

(1) Gdzie dziś stoi dom, pałacem Karasia zwany.

lat kilku (r. 1756) stanął wspaniały szpital dla podrzutków, sierot, kalek i wszelkiego rodzaju ubogich, pod nazwaniem *Dzieciątka Jezus*, którego sama budowa przeszło 30 tysięcy dukatów kosztowała. W nim Boduen przepędził resztę dni użytecznego i pracowitego żywota, pełniąc naprzemian to obowiązki kapłana i posługacza przy chorych, to obowiązki ojca i nauczyciela przy dzieciach. Umarł tamże w roku 1768, dotrwawszy jak wierny rycerz Chrystusa, na stanowisku swojem aż do końca; zwłoki jego spoczywają w kościele Śgo Krzyża. Cześć jego pamięci, i niechaj ona przechodząc z pokolenia, zagrzewa następców do podobnego życia i dzieł podobnych!

Jałmużna serca.

—

Ulicą Dziką prosto ku Powązkom toczył się jednokonny karawan, na którym umieszczona niewielka czarna trumna z długim popielatym końcem od sukni świadczyła, że tą nową ofiarą śmierci była kobieta. Za tym pogrzebem kilkoro tylko postępowało ludzi, a suche ich oczy i obojętne twarze były aż nadto jasnym dowodem, że jedynie w skutek pobożnych chęci chrześciańskich oddawali tę smutną posługę nieboszczce, co znać nie miała nikogo bliższego, którýby jej zwłokom towarzyszył do miejsca wiecznego odpoczynku.

Jedna tylko osoba w tym maleńkim orszaku łzami i boleścią niekłamaną dowodziła głębszego współczucia; była nią młoda, porządnie ubrana kobieta, otoczona trojgiem prześlicznych dzieci, które nie pojmując smutku swej matki, co chwila oddalały się to w tę, to w ową stronę, odwracając tym sposobem jakiś czas jej uwagę od przykrego widoku, jaki miała przed sobą. Niedługo karawan stanął w jednej z bram cmentarza, a w pół godziny niespełna świeża wilgotna mogiła pozostała jedynym świadkiem, że znowu jedno ciało przybyło do tej ziemi, co już tyle pokoleń ukryła w swem łonie. Cały ten prosty obrzęd pogrzebu ubogiej kobiety, przypominając obecnym znikomość życia ludzkiego, zdawał się przemawiać do nich pocieszającym głosem religii. „Błogosławieni ubodzy duchem, albowiem oni Boga oglądać będą. Błogosławieni cisi, albowiem oni posiądą ziemię. Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni“ Bo oto według słów Zbawiciela, znowu jeden duch korny i ubogi stanął przed obliczem Boga; znowu jedna cicha mieszkanka świata opuściła go, aby posiąść ziemię wiecznego żywota; znowu jedna twarz, którą nieraz zalewały gorzkie łzy niedoli, rozjaśniona blaskiem nieśmiertelności, zabłysła pociechą wieczystego szczęścia, tam, gdzie już nie ma łez i cierpienia.

Lecz opuśćmy ciche mieszkanie zmarłych, a podążmy w ślad za młodą kobietą, pomiędzy siedliska żyjących, wśród gwarnych i wesołych ulic naszej poczciwej Warszawy. Weszła ona po wschodach na trzecie piętro jednej z porządnych kamienic przy ulicy Długiej, do dość obszernego mieszkania, składającego się z kuchenki i dwóch porządnych pokoików. W jednym z nich znajdował się długi stół otoczony dokoła pracowitą krawiecką czeladzią, drugi zaś czysto utrzymany i zastawiony schludnemi jesionowemi meblami dopełniał niejako przyjemnego widoku, tego cichego schronienia mierności i pracy.

—Antosiu, odezwał się do wchodzącej, młody człowiek o bladej twarzy i pochylony choć wysokiej postawy,—otrzyjno te zapłakane oczy, a spojrzyj, jakiego to nam gościa zesłał Pan Bóg na pociechę.

Kobieta z zadziwieniem podniosła oczy i spostrzegłszy siedzącego przy oknie mężczyznę poczciwych otwartych rysów, z uprzejmością go powitała.

— Nie tak, nie tak, żoneczko, zawołał znowu krawiec, inaczej powinnaś witać naszego przybysza; a toż to przecie mój brat rodzony, Walenty Igielski, któregoś tak poznać pragnęła. Serdeczne uciśnienie nastąpiło po tych słowach, między nowo przybyłym i żoną krawca. Walenty z rozczuleniem zaczął pieścić drobne potomstwo brata, a nasza pani majstrowa zabrała się chętnie, przy pomocy służącej około sporządzenia smacznej wieczerzy, którą pragnęła uraczyć porządanego gościa. Lecz pomimo serdecznego przyjęcia ze strony bratowej, z bólem serca uważał pan Walenty, że bynajmiej nie dzieliła powszechnej radości, a przy wieczerzy nic prawie nie jedząc, często pod różnemi pozorami oddalała się od stołu, dla ocierania łez

gwałtem cisnących się do uczn. Skoro więc wszyscy powstali z miejsca, odezwał się do niej z współczuciem, ściskając podaną sobie rękę:

— Powiedzże mi nakoniec moja kochana pani bratowo, czyja to śmierć tak cię boleśnie dotknęła, że do tego czasu smutku pozbyć się nie możesz?

— Mojej jedynej opiekunki i dobrodziejki, odpowiedziała zagadniona.

— Zapewne musiała nią być jakaś bogata pani, jedna z owych dobroczynnych, któremi tak chlubnie słynie Warszawa?

— O! nie mój bracie, była to osoba uboga, utrzymująca się z ciężkiej pracy rąk własnych.

— No! to nie pojmuję cię wcale moja bratowo, odrzekł Jgielski; i jam przecież nie dzisiejszy, a jeszcze nigdy nie słyszałem, żeby można być czyim opiekunem i dobroczyńcą, kiedy się w pocie czoła na każdy grosz zarabiać musi?

—Alboż to tylko pieniędzmi można uszczęśliwiać drugich, panie Walenty, a za niczże liczysz dobre rady i nauki, które w najpóźniejsze lata przetrwać mogą w sercu człowieka? Wierz mi kochany bracie, że przy dobrych chęciach, i w największem ubóstwie wiele dobrego uczynić można; jestem prawie pewną, że zmienisz to zdanie, skoro usłyszysz, kilka szczegółów życia mojej zmarłej dobrodziejki. Walenty wątpiąco pokiwał głową, a krawcowa w ten sposób zaczęła swoje opowiadanie:

—Wiesz już zapewne kochany bracie, że mąż mój wziął mię jako sierotę, bez żadnego majątku. Jak kolwiek kochany mój Michał przyznaje mi przymioty serca, które rzeczywiście mogłam posiadać idąc za niego, był jednak czas tak nieszczęśliwy w mojem życiu, że serce moje było skalane występkiem mimo własnej wiedzy, ręce nie znały, co to poczciwa praca, a twarz tak była nędzna i zeszpecona. Zostałam sierotą w szóstym roku mego życia, ojca swego nie pamiętam wcale, a biedna moja matka umierając w szpitalu, nie zdążyła nawet pobłogosławić mnie przed śmiercią i polecić opiece uczciwych ludzi. Marcinowa biedna wyrobnica, z którą mieszkałyśmy razem, zaraz nazajutrz po jej śmierci skarciwszy mnie nielitościwie za jakąś dziecinną swawolę, nie kazała mi się więcej pokazywać na oczy, i dopiero poczciwy stróż sąsiedniej kamienicy ulitował się nademną i pozwolił mi sypiać w swej szczupłej komórce pod schodami, dzieląc się ze mną chlebem i codzienną strawą. Byłam wtedy zbyt młodą, aby uczuć nieszczęście, które mnie spotkało, a idąc za popędem mej dziecinnej natury, wkrótce poznajomiłam się ze wszystkimi mieszkańcami kamienicy, tak, że kucharki z całego domu zaczęły mnie używać za swe popychadło w różnych drobnych zajęciach, darząc w zamian za te usługi *Antosię Przybłędę* (bo pod tym nazwiskiem znaną byłam w domu) to jak zszarzaną sztuką odzieży, to kawałkiem mięsa, lub trochą skrzepłej jarzyny. Tak upłynęło kilka lat mego dzieciństwa, w ciągu których nauczyłam się z przykładu moich pań tymczasowych i brudnych dzieci ulicznych, płatać najnieprzyzwoitsze psoty, nosić plotki po domu, a kiedy się zdarzyła sposobność, zręcznie chwytać rozmaite przedmioty; bo przyznaję ze wstydem, że miałam wielki pociąg do kradzieży. Tymczasem mój biedny przybrany ojciec został pewnej nocy dotknięty silnym atakiem cholery i skonał, nim moje krzyki zdołały przywołać kogo na pomoc, a ja znowu pozostawszy sama na świecie, zgodziłam się w służbę do żony szewca mieszkającego na facyacie tego samego domu. Ależ jaka to była służba! jakiż to był przykład dla dziecka, które nie miało najmniejszego pojęcia cnoty i moralności! Pan mój pijak nałogowy, od rana do nocy kłócił się z żoną, nieludzką i złą kobietą, a często oboje wspólnie wywierali swoję złość na mnie nieszczęsnej, bijąc mię bez litości i wymawiając, że mię próżno żywią; czego jednak prawie nigdy nie bywało, bo podczas, gdy nasi państwo biesiadowali, ja najczęściej byłam zostawiona własnemu przemysłowi, przez co tem więcej zaczęła się we mnie rozwijać nieszczęsna skłonność do kradzieży, i Bóg wie, jakby mię była daleko zawiodła, gdyby przykra na pozór okoliczność nie wyrwała mnie od razu z okropnej otchłani nędzy i zepsucia. Porządkując raz w brudnej izdebce moich państwa, zdarzyło mi się trącić przypadkiem w stojącą na oknie flaszkę z wódką, co spostrzegłszy rozzłoszczona gospodyni, z wściekłością rzuciła się na mnie, katując srodze. Ratowałam się ucieczką, lecz zawzięta kobieta

wybiegłszy za mną na schody, schwyciła mię za włosy i jeszcze mocniej bić poczęła. Wtem na moje krzyki jak anioł wybawiciel nadbiegła żywo panna Tekla, która od wielu już lat zajmowała mały pokoik naprzeciw siedziby szewca, w którym mieszkała wraz z matką dotkniętą paraliżem, nie mając innego dochodu nad mozolny owoc pracy rąk własnych. Ta tedy dobra osoba widząc krew płynącą po mojej twarzy, wyrwała mnie gwałtem z rąk nierównie silniejszej od siebie kobiety i całą drżącą z bólu i obawy wciągnęła do swego mieszkania. Ale i tam niezbyt miłe czekało mię przyjęcie; matka bowiem p. Tekli, której nieraz dojść musiały do uszu rozmaite psoty nędznej przybłędy, ujrzawszy córkę wchodzącą wraz ze mną, zaczęła ją ostro strofować, mówiąc, że niepotrzebnie sprowadza do domu włóczęgę, co ją jeszcze gotowa okraść przez wdzięczność. Wtedy poraz pierwszy boleśnie uczuwszy moje sieroctwo, zrozumiałam naganność dawnego postępowania, i padłszy z płaczem do nóg pannie Tekli, zaklinałam ją na miłosć Boską, aby mnie nie wypędzała od siebie, i przyrzekałam najzupełniejszą poprawę wszystkich moich błędów. Zacna moja wybawicielka podniosła mię ze wzruszeniem, obiecując, że mnie nigdy nie opuści, jeżeli tylko zechcę być pracowitą i uczciwą. Odtąd też pomimo gdérań upartej staruszki pozostawiła mię przy sobie, a niezrażając się mojem lenistwem, zajęła się usilnie mojem wychowaniem. Ona to wprawiając mnie do pracy, zapewniła mi przyzwoite choć skromne utrzymanie, z jej przykładu nauczyłam się kochać Boga i cnotę, a uniknąć ponęty występku; słowem, jak ci już mówiłam mój bracie, była moją jedyną opiekunką i dobrodziejką na świecie. Byłto prawdziwy anioł dobroci i poświęcenia; z dzieciństwa przyzwyczajona do lepszego bytu, bez szemrania przyjęła niedostatek, który ją dotknął z powodu wcześnej śmierci ojca, co będąc urzędnikiem, nie pozostawił po sobie żadnego majątku. Na niej to sprowadziło się to przysłowie: *że kogo Pan Bóg kocha, na tego swoje krzyżyki zsyła*; nikt też zapewne więcej od panny Tekli nie zasługiwał na Jego miłość. Ależ ciężkie to były krzyżyki, które na nią dopuszczał. W parę lat po śmierci ojca, matka jej została tknięta paraliżem i od tego czasu nie mogąc zupełnie pracować, pozostawiła córce cały ciężar utrzymania. Patrząc przez lat dziesięć na cnotliwe postępowanie mej opiekunki, mogłabym wam przytoczyć mnóstwo przykładów jej szlachetnego wyparcia się samej siebie, lecz nie chcąc zajmować długiem opowiadaniem pana Walentego, dodam tylko, że mając lat osmnaście, zwróciłam na siebie uwagę mego Michała, który wtenczas był czeladnikiem u krawca w tym samym domu; a moja opiekunka spostrzegłszy jego przywiązanie i poczciwe chęci, sama przywiodła do skutku związek małżeński między nami, i obsypawszy nas błogosławieństwy, rozłączyła się ze mną, i pozostała znowu samą jedną przy zgrzybiałej staruszce, której stan coraz większej wymagał pieczołowitości. Odtąd życie moje płynęło bardzo szczęśliwie; przy pracy i oszczędności dochody nasze znacznie się zwiększyły. Michał założył warsztat na siebie i Bogu dzięki nigdy mu niezbywało na robocie; dzieci, któremi nas niebo obdarzyło, zdrowo i pięknie się chowają, słowem w tak pomyślnem położeniu, śmiało mogłam pomyśleć o przyniesieniu ulgi mojej dobrodziejce, którą po śmierci starej matki koniecznie pragnęłam mieć w swoim domu. Lecz ona snać nie chcąc być nikomu ciężarem dopóki sama na siebie zapracować mogła, coraz dalej zwłoczyła tę chwilę szczęścia, o której myśl sama już mnie napełniała nieopisaną radością. Pomimo to jednak postanowiłam koniecznie stać się dla mej dobrodziejki jakąś pomocą. Nie mogąc jej więc uprosić o przeniesienie się do domu mego, chodziłam do niej i pomagałam to współpracą w jej zajęciach, które dla osłabienia wzroku mozolniejszemi się dla niej stawały, to udziałem w smutku i cierpieniach, nie zrzekając się nigdy nadziei, że p. Tekla zgodzi się kiedyś na moje najszczersze życzenia.

Bóg jednak niepojęty w swoich wyrokach nie dozwolił mi cieszyć się tak pożądaną roskoszą, mówiła dalej drżącym głosem krawcowa, gdyż właśnie przed trzema dniami, po bardzo krótkiej chorobie, powołał do siebie Anioła-Stróża mojej młodości, pozostawiwszy mi jedyną pociechę zapłakania nad jej mogiłą, wraz z memi dziećmi, na które przed śmiercią przelała to samo błogosławieństwo, z jakiem kiedyś żegnała mnie wychodzącą ze swego domu!

Umilkła młoda kobieta, a spojrzawszy na Walentego, dostrzegła dwie łzy płynące po jego poczciwej twarzy, któremi zdawał się oddawać cześć pamięci tej, co pomimo swego ubóstwa, tak dobre pozostawiła wspomnienie w wdzięcznem sercu, które wydarła zepsuciu i nędzy.

Palmy, jako osobliwe drzewa krajów gorących.

(Dokończenie, patrz nr. 47 Cz.)

Palma kokosowa (Coccos nucifera). Jest to gatunek najużyteczniejszy zpomiędzy drzew palmowych. Drzewo to wyrasta do 80 stóp wysoko, trzon jego wieńczy ogromna czupryna olbrzymich liści. Mnóstwo jest tych drzew na stałym lądzie Indyj Wschodnich i na przyległych wyspach, w Afryce północnéj i w środkowéj Ameryce. Owoc jest najużyteczniejszą częścią tej palmy, wisi on w ogromnych gronach i składa się z brudno-żółtych, prawie trójgraniastych orzechów, wielkości głowy dziecięcia. Pod wierzchnią skórkowatą łupiną zawierają te orzechy na 3 cale grubą massę brunatną, z grubych włókien złożoną. Pod tem okryciem znajduje się jądro okrągłowo-trójgraniaste w twardéj skórce. Indyanie lubią szczególniéj biały sok w niedojrzałym orzechu znajdujący się, który zowią *mlekiem kokosowem*; wybornie on smakuje i gasi pragnienie, jak czysta zimna woda źródlana.

Nie sam tylko owoc tej palmy jest pożyteczny, samo drzewo jest równie ważne. Z suszonych orzechów wyciskają olej do palenia w lampach. Gruba łupina orzechów pięknie się daje polerować, dlatego tokarze wyrabiają z niej: guziki, łyżki, paciorki, osady do lasek i inne przedmioty. Z włókien wierzchnich wyrabiają się sznury, liny, sieci; liści używają do robienia koszyków, do pokrywania chat, szałasów, do robienia mat i t. p. rzeczy, albo też wyrabiają z nich włókno na tkaniny, na żagle lub odzież; drzewo zaś przydatne jest do wyrabianie sprzętów domowych.

Palma daktylowa (Pheonix dactylifera). Ojczyzną tej palmy są: Indye Wschodnie, Arabia, Persya, Egipt, pustynia Sahara w Afryce, Owoce jej zwane *daktylami* są jedynym pokarmem Maurów i Arabów. W cieplarniach naszego kraju widzieć można małe drzewka daktylowe i z nich mieć niejakie wyobrażenie o postaci tego drzewa w jego ojczyznie, gdzie dorasta do 150 stóp wysokości; liście jego nieco do rogożowych lub tatarakowych podobne, bywają do 6 stóp długie; wielkie bukiety kwiatów z początku okryte są w ciemno-czerwonych pochwach, potem wyrastają z kątów liści.

W téj palmie podobnie jak w poprzedzającej owoc, czyli daktyl jest najszacowniejszą częścią. Wisi on w gronach do 50 sztuk zawierających; dojrzały daktyl jest gruby i długi jak palec, pod jego cienką, czerwoną skórką, jest słodka jak cukier miazga, a w niem twarda podługowata pestka.

Daktyle jedzą się już surowe, prosto z drzewa urwane, już też suszone, jakie u nas w handlu są znane. Wycisniony sok ze swieżych daktylów, stanowi przedni syrup, podobny do miodu, którego krajowcy używają jako przyprawę dla nadania różnym potrawom przyjemnego smaku. Podobnie jak z naszéj brzozy, tak i z daktylowéj palmy można przez wywiercenie trzonu otrzymać sok, używany zachłodzący i orzeźwiający napój. Młode liście daktylowe stanowią smaczną zieleninę. Arabowie wyrabiają z pochw kwiatowych naczynia do napojów, z liści plotą koszyki, wyrabiają wachlarze i t. p. rzeczy. Pnie drzew służą za materyał do budowli, słowem daktylowa palma różnemi swemi częściami zaspakaja potrzeby mieszkańców gorących krajów, w których nie wytrzymałyby nasze zboża, ogrodowiny, drzewa owocowe, a nawet uschłyby nasze leśne drzewa.

Wierny Sługa.

Dnia 26 września r. b. w Ciachcinie pod Płockiem, z uroczystością czterdziesto-godzinnego nabożeństwa połączono akt rozdania nagród wyznaczonych przez Towarzystwo Rolnicze dla mieszkańcow okręgu Płockiego. Rozrzewniający był widok, gdy do odebrania nagrody przywołanym został Józef Zieliński karbowy ze wsi Goślice. Służył on i służy już lat czterdzieści kilka u b. pułkownika wojsk polskich Antoniego Klimkiewicza, dziedzica

dóbr Goślice i Ciachcina. Sędziwy ten wojownik i obywatel, pamiętny o gorliwych usługach Józefa Zielińskiego, nieodstępnego towarzysza tak w znojach wojennych, jak i podróżach odległych, nie wahał się wpośród całego zgromadzenia uściskać po przyjacielsku wiernego sługę. Z głębokim wzruszeniem przyjął ten dowód chlubny dla siebie dobrego i szlachetnego Pana swego, *Józef Zieliński* i odpowiedział nań serdecznemi łzami. Bóg je policzył na zasługę obu: panu, że umiał być wdzięcznym, słudze, że pełnił wiernie obowiązki swoje.

Od Redakcyi Czytelni Niedzielnej.

SPRAWOZDANIE.

Z kończącym się rokiem trzecim Czytelni Niedzielnej, Redakcya z tych samych pobudek, jak w latach poprzednich czuje się obowiązaną złożyć Czytelnikom sprawę z czynności swoich:

Czytelnia Niedzielna w roku bieżącym, opierając się zawsze na pierwotnym prospekcie, objęła niektóre nowe przedmioty, jak to poniższe sprawozdanie wykaże. I tak:

Oprócz *przedmiotów treści religijnej*, czytać się dają w piśmie naszem różne *legendy*, czyli podania miejscowe, tak w kształcie prostego opowiadania, jak i pieśni ludowych pisane, a nadto pomieszczane tu były *obrazki i zarysy* z życia ludności miejskiej i wiejskiej, rzemieślniczej i rolniczej; do rzędu ostatnich policzyć należy *Życiorysy kmieci*, skreślone podług materyałów przez Towarzystwo Rolnicze w Królestwie Polskiem, udzielonych.

Wiadomości dotyczących *rolnictwa*, a w ogóle gospodarstwa wiejskiego, nie pomijano w Czytelni, które i na rok przyszły w podobny sposób podawanemi będą. W rzędzie powyższych wiadomości pomieszczono w r. b. rzecz *o wychowie zwierząt domowych*, i przedmiot ten w dalszym ciągu znajdzie właściwe rozwinięcie.

Instytucye dobroczynne, religijne i świeckie, oraz dział *wynalazków i rzemiosł*, przy dołączeniu niekiedy drzeworytów, o ile to możebnem było, zajmowały prace Redakcyi; *jeografia*, tak ważna i konieczna nauka, odpowiednio zakresowi pisma, w sposobie przystępnym, łączonym z wiadomościami historycznemi i statystycznemi traktowana na ten rok w Czytelni, i w roku następnym dalej prowadzoną będzie. Żywioł *historyczny* wszedł w zakres pisma już to w obrazkach i wspominkach z przeszłości, już też w powiastkach historycznych, których Redakcya nie spuści z widoku i w dalszych pracach swoich.

Wiadomości z nauk *przyrodzonych* w obszerniejszym wykładzie starano się podawać, i w roku kończącym się zwrócono głównie uwagę na historyę naturalną zwierząt i ptaków, na rok zaś następny inne części z kolei traktowane będą.

Objęto również w Czytelni *powieści obyczajowe*, a z nich wiele z zarysów przeszłości czerpanych, jak niemniej *przysłowia, zdania moralne, anegdoty, wiadomości o książkach* dla ludu pisanych, oraz wiadomości z *Hygieny* popularnej,

W ogólności Redakcya starała się zadosyć uczynić zadaniu swemu, stosownie do pierwotnego prospektu i poprzednich sprawozdań, aby utrzymać, o ile się dało, ruch umysłowy, budzić i zaspokajać w części ciekawość czytelników swoich, a jeżeli tego, mimo szczerych chęci, w zupełności dopiąć nie zdołała, pragnie ona zawsze działać w tej dążności, byle ją tylko wspierało i nadal jak dotąd, współczucie i współdziałanie ogólne.

Czytelnia Niedzielna na rok przyszły w tym samym formacie, treści i cenie wychodzić będzie; gdy zaś zamiłowanie i upowszechnianie czytania w klasach pracujących staje się coraz ogólniejszem i pismo nasze sięga licznych warstw społeczeństwa, Redakcya tem większą czuje ważność zadania swego — wszystkie więc jej usiłowania ku temu skierowane będą, aby wewnętrzną stronę pisma coraz więcej, a stopniowo rozszerzać, urozmaicać, ulepszać, i bardziej ożywczą czynić.

Sprawozdanie więc niniejsze niech będzie polem porozumienia się zobopólnego co do potrzeb serca i umysłu czytających, a szczerych chęci Redakcyi uczynienia im zadosyć; jak nie mniej podziękowaniem wszystkim, którzy bądź współczuciem, bądź pracami swemi dodawali żywiołu przedsięwzięciu naszemu.

Sprostowanie.

W numerze 38 Czytelni r. b., na stronicy 304, w wierszu ostatnim szpalty 2, wyrazy: *i nagrodę 50 rs.*“ przez pomyłkę zamieszczono; Habior bowiem *tylko listem pochwalnym* wynagrodzony został.

W druk. J. Ungra.— Wolno drukować.— Warszawa d. 8 (20) grudnia 1858 r. Starszy cenzor, *F. Sobieszczański.*